

Olimpiada w Tokio

Zaterkotał budzik. Nagle, bez powodu, za głośno. Podewrałem się na równe nogi, ale od razu rozbudzony i przepełniony energią. Zamiast ze złością zdusić przycisk dzwonka, pozwoliłem mu trąbić jeszcze przez dłuższą chwilę. Delektowałem się tymi zuchwałymi, bezczelnymi dźwiękami; dawałem się im wchłonąć. Jak tamtego ranka, prawie przed pół wiekiem, trąbka wzywała przecież do walki. Oto zaraz wyruszę do Piotrkowa Trybunalskiego, czyli na podbój świata.

Jak zwykle trochę spóźniony, wybiegłem na pociąg odjeżdżający z Warszawy Głównej około ósmej. Nie ma czegoś takiego jak odjazd pociągu „około”. Jest duża różnica między siódmą pięćdziesiąt dziewięć a ósmą zero jeden – wmaślał mi ojciec, poznaniak, więc z powagą traktujący zegarki i zegary. Urodzonemu w Warszawie, nie bardzo chciało mi się w to wierzyć. Jakiś przyrząd do mierzenia miałby coś dyktować człowiekowi? Bez przesady. Mimo niedzielnego rozkładu jazdy autobus pojawił się w alei Niepodległości o czasie i w porę dotarł do skrzyżowania z Towarową. Stamtąd dwieście metrów radosnym klusem do mety, bezpieczne czterdzieści sekund przed odjazdem pociągu. Opanowanie i kontrola nad materią.

Gdybym jeszcze tylko mógł sterować samym celem wyprawy. Było inaczej. Umyśliłem sobie, że powalczę o tytuł mistrza Polski juniorów w szachach roku 1960. Sześciu, siedmiu najpoważniejszych rywali to w końcu nie problem. Gorzej, że mojego nazwiska zabrakło na oficjalnej liście

startowej. Od sędziów zależało, czy mnie jako rezerwowego dopuszczą do turnieju. Udział w nim był więc niewiadomą. Dziewiętnastolatek zawsze potrafi wskoczyć do odjeżdżającego pociągu. Znacznie trudniej mu czekać zmiłowania albo żebrać u obcych ludzi.

Nadzieja nie trwała wiele dłużej niż czas podróży. Wpadłem do sali turniejowej z wypiekami na policzkach, z chciwością w oku. To oznaczało, że szanse rozkładały się jak czterdzieści dziewięć do pięćdziesięciu jeden. Starsi ludzie czasem zachwycają się młodością dla niej samej. Częściej jednak ona ich po prostu irytuje. To sprawa pedagogiki. Młody pcha się na siłę, a mógłby chwilę poczekać. Chciałby dostać wszystko na talerzu, a powinien najpierw się zmęczyć, spocić, przy trudnej wspinaczce zedrzeć do krwi pazury.

Przy stoliku sędziowskim krzątało się kilku ludzi. Najważniejszy z nich spojrzał na mnie bystro. Nim jeszcze wyłuszczyłem swoją prośbę, zrozumiał, jak bardzo mi zależy na grze.

A wała! – Doprawdy żałuję, ale nic z tego, kolego. Rzeczywiście dysponujemy jeszcze jednym wolnym miejscem, ale pan jako rezerwowy wejść nie może, bo wtedy limit zawodników z Warszawy zostałby przekroczony. Więc może w przyszłym roku... – powiedział sędzia ze słodyczą. Wiedział doskonale, że za rok będę już sędziwym seniorem. Zniechęciliśmy się z panem sędzią od pierwszego wejrzenia. Nie było co ponawiać prośby.

Powałęsałem się trochę po mieście. W ulicznym kiosku wychleptałem lemoniadę. Miała intrygujący kolor indygo, za to nieporównywalny z niczym, jałowy smak swojej epoki. Wróciłem na salę tuż przed rozpoczęciem pierwszej

rundy, żeby zobaczyć szczęśliwców, których dopuszczono do gry. Przez okno wdzierał się promień słońca. Najmocniej rozświetlał szachownice faworytów – dwóch chłopców z Wielkopolski, jakby wskazując, że to oni są wybrańcami bogów. Promień był ostry, więc zdradliwy. Włodek, trochę lepszy z tych dwóch, po latach dorobił się tytułu arcymistrza. Marek cierpiał, że jest trochę gorszy. Codziennie podlewał miłość własną. Wzrastała ona bujniej od rachitycznego drzewka talentu. Szachista rozczarował się też do drzew logiki i matematyki: wcale nie były tak zielone, jak obiecywano. M. stopniowo odsuwał się od kolegów, uciekał przed światem, marniał w oczach. Nie było mu dane przeżyć na tym szachów padole dłużej niż kilkadziesiąt miesięcy. Sam zadał sobie śmierć; okoliczności nie były bliżej znane. W naszym świecie ludzie zazwyczaj ustawiają się na wiadukcie i z wysoka rzucają pod koła pociągu. Gdy się nie uda, próbują jeszcze raz. Aż do skutku.

Nie miałem o tym pojęcia. Nigdy jeszcze dotąd nie dopadła mnie depresja szachowa. Zachodząca aż za horyzont ohydna, bura plama; niewidzialna, ciężka zasłona, której odgarnąć nie sposób. Zbyt krótko i zbyt radośnie grałem w szachy. I bardzo lubiłem dworce. To z ich peronów wyrzutnia kosmiczna wypychała mnie wraz z towarzyszami na pierwsze ligowe mecze: hen, w inną galaktykę, aż do Legnicy czy Cieszyna. To właśnie dworce, mimo że brudne i zaniedbane, dawały mi napęd. Obiecywały przygodę, żonglowały porami dnia i roku, unosiły w inny, nierzeczywisty wymiar. A czasem, tak jak dzisiaj, pozwalały po prostu wyrwać się z kłopotów. Wróciłem na dworzec, żeby zrealizować rezerwowy plan podróży. Kupiłem bilet na Wybrzeże, licząc na gościnność mistrza Mariana,